

KOLPORTERKA

Najbardziej pierwotnym sposobem rozpowszechniania bibuły jest rozrzucanie nielegalnych wydawnictw. Sposób ten ma niezaprzeczenie swoje dobre strony. Przede wszystkim jest nadzwyczaj konspiracyjnym.

Znajdujący bibułę gdziekolwiek: na ulicy, podwórku, warsztacie lub fabryce — nie zna i nie widzi tego, który bibułę rozrzucił, i w razie złapania u niego książki niecenzuralnej ma łatwy i naturalny sposób usprawiedliwienia się przed władzą. «Znalazłem tam i tam» — brzmi lakoniczna, nikogo nie kompromitująca odpowiedź na żandarmskie rozpytywanie o bibułę.

Następnie rozrzucenie daje się względnie łatwo uskutecznić i nie wymaga wcale istnienia szerszej organizacji kolporterskiej, ani też obszernych stosunków wśród ludzi, dla których bibuła jest przeznaczona. Przecie znacznie łatwiejszym i bezpieczniejszym jest rozrzucenie, dajmy na to, stu egzemplarzy jakiegoś wydawnictwa, niż posiadanie stu znajomych ludzi, którzy wezmą te egzemplarze z rąk do rąk. Idź i syp na prawo i lewo — recepta to nietrudna, a wykonanie jej uwarunkowane jest jedynie krótkotrwałym wyładowaniem pewnej energii u niewielkiej ilości ludzi.

Wobec tego rozrzucanie nielegalnych wydawnictw partyjnych spotykamy wszędzie przy pierwszych krokach, stawianych przez organizację rewolucyjną. Jak mnie zapewniano, więcej, niż połowa nakładu «Robotnika» w początkach jego istnienia, w r. 1894 i 1895, była rozsypywana wśród ludności fabrycznej i rzemieślniczej w głównych ogniskach przemysłowych Polski. To samo było z «Górnikiem», wydawanym przez PPS. dla Zagłębia Dąbrowskiego. Według relacji, otrzymanych przeze mnie co do Rosji i Ukrainy, i tam dotąd przeważa system rozrzucania wydawnictw — odezw i broszur rewolucyjnych — wśród ludu pracującego.

Jeden z towarzyszków, który pracował właśnie w tym pierwszym okresie ruchu w Zagłębiu Dąbrowskim, opowiadał o swych wrażeniach w sposób następujący:

— Złe staliśmy wówczas pod względem organizacyjnym w Zagłębiu. Ludzi w organizacji było bardzo mało, socjalizm też był ideą o tyle nową, że wśród robotników, stojących na dosyć niskim stopniu kulturalnym, trudno było go rozpowszechnić ustnie. Oswajaliśmy masę z «dobrą nowiną» so-

cyjizmu przez rozrzucanie wydawnictw naszych w wielkiej ilości.

Prawie co wieczór garstka nasza wychodziła na robotę. W kieszeniach każdy z nas miał kupkę najpopularniejszych broszur — głównie rozpowszechnialiśmy «Sprawę Górniczą», specjalnie dla górników przeznaczoną. Każdy z nas znał werstwy Zagłębia, jak swoją kieszeń. Było to koniecznie potrzebnym, bo wypadło nam trafiać do określonych zawczasu punktów w nocy, omijając zarówno bardziej zaludnione miejscowości, jak doły i odkrywki kopalniane, w których łatwo kark skrócić.

Chodziliśmy dla bezpieczeństwa parami i z góry określaliśmy dla każdej pary miejscowość, którą obejść należało. Dopiero nad ranem, po nużącej wędrówce po błocie dąbrowskim, przychodziło się do domu zmęczonym i wyczerpanym zupełnie.

Wkrótce zaczęły krążyć legendy o tajemniczych ludziach, rozrzucających książeczki. Dochodziły do nas wieści o rozmowach, toczonych wśród robotników pod wpływem bibuły. Nasze broszury spodobały się ludziom. W pamięci zostało u mnie parę scen, świadczących o takim sympatyzującym stosunku ludności robotniczej do bibuły.

Razu pewnego, już nad ranem, gdym kończył swoją robotę i zostało mi parę broszur w kieszeni, postanowiłem podrzucić je w najbliższej kolonii robotniczej — grupie domków górniczych, otaczających najbliższą kopalnię. Szedłem szybko, zamysliłem się i nie spostrzegłem, że w okienku, do którego zmierzałem, świeci się mdły ogieniek, że ludzie już tam wstali. Gdym to dojrzał, stałem już przed oknem, tak, że nie tylko ja widziałem wewnątrz ubogiego pokoiku, lecz i sam byłem widocznym dla mieszkańców lokalu.

W pokoju górnik spiesznie ubierał się, a żona jego, jeszcze w koszuli, przygotowywała mu śniadanie. Oboje spostrzegli mnie przed oknem i wyraz twarzy ich mówił o zdumieniu. Bałem się, by nie zrobili alarmu, mógłbym bowiem być złapanym, jako złodziej. Postanowiłem zaryzykować.

Wyciągnąłem z kieszeni książeczkę, pokazałem ją przez okno górnikowi i położyłem na murze koło okna. Na twarzy górnika zakwitł uśmiech — zrozumiał, o co mi chodzi, — oboje zakiwali głowami w znak zgody i podziękowania. Uspokojony ruszyłem do domu.

Innym razem, podchodząc w ciemności do domków robotniczych, nie spostrzegłem, że obok domu stał człowiek. Gdym wyciągnął z kieszeni książeczkę i zamierzał ją położyć

koło okna, wpadł na mnie pies, ujadając wściekle. Chciałem się wycofać z interesu, gdy usłyszałem głos.

— Pójdź tu, psiakrew! — odwoływał ktoś psa, ktoś stojący ode mnie bardzo blisko.

Zrozumiałem, iż ten, kto odwoływał psa, musiał widzieć moje ruchy, musiał dostrzec i broszurę, wyjmowaną z kieszeni. Położyłem więc spokojnie bibułę tam, gdzie zamierzał, i oddaliłem się. Pies raz jeszcze spróbował spełnić swój obowiązek i groźnie zaszczekał. Po chwili jednak usłyszałem uderzenie i przeraźliwe skomlenie uderzonego psa, którego raz jeszcze powstrzymał ów nieznajomy.

Naturalnie, taki prosty sposób rozrzucania bibuły nie jest przydatnym dla miast, porządnie obsadzonych policją i szpiegami, — jak Warszawa albo Łódź. Tam proces rozrzucania wymaga większego nakładu pracy i sprytu. Opowiadano mi pomiędzy innymi, że przez dłuższy czas w Łodzi udawało się rozpowszechnić sporą ilość «Robotnika» przez łobuzów ulicznych.

Dawało się takiemu chłopczykowi paczkę «Robotnika» i złotówkę lub czterdziestkę z nakazem, by rozdał «te ogłoszenia» robotnikom przy wyjściu ich z fabryki. Robiło się to przed samym końcem roboty, tak, że chłopak mógł widzieć, iż oddawca «ogłoszeń» kontroluje go przy spełnianiu wziętego na się obowiązku.

W istocie, chłopak stawał u wyjścia z fabryki i, gdy robotnicy tłumnie zaczęli wychodzić z furtki lub bramy, raz po raz wysuwał egzemplarz «ogłoszenia», podając go przechodniowi. Policja, gdyby nawet i była na ulicy, nie spostrzegłaby nic zdrożnego, bo taki malec z «ogłoszeniami» ginął w ogromnym, liczącym kilka setek ludzi, tłumie.

— Zabawnym było — mówił mi towarzysz z Łodzi — obserwować, co robią ludzie z otrzymanym «Robotnikiem». Niektórzy rzucali okiem na tytuł i pośpiesznie chowali papier do kieszeni. Inni z miną wystraszoną oddawali pismo chłopakowi, lecz byli i tacy, którzy tutaj, na ulicy, stawali i przeglądali otrzymane «ogłoszenie». Tworzyły się nawet grupki ludzi, otaczających zwartą masą jednego, który widocznie na głos czytał ten lub inny ustęp z «Robotnika». Najzabawniejszym zaś było patrzeć na «salcesona» — tak w żargonie złodziejskim nazywają policjantów, — który z najobojętniejszą w świecie miną patrzył filozoficznie na otoczenie, nie przeczuwając, że tuż obok niego dzieją się tak zdrożne i buntownicze rzeczy.

Po pewnym czasie doszło jednak do wiedzy władzy, że

któs rozdaje pod fabrykami «buntownicze» pisma. Któregoś z chłopaków przyłapano na gorącym uczynku i trzeba było zaprzestać rozdawnictwa «ogłoszeń».

Pomimo jednak prostoty i łatwości samego procesu rozrzucania bibuły, sposób ten ma i odwrotną stronę, która stopniowo ogranicza zastosowalność jego przy rozpowszechnianiu druków nielegalnych i zmusza szukać innych, bardziej skutecznych, bardziej płodnych w rezultaty.

Przede wszystkim więc taką odwrotną stroną medalu przy rozrzucaniu bibuły jest zupełny brak danych o osobie, której się podrzuca ten lub ów druk zakazany.

Wobec tego, że przy rządach carskich ogromną część ludności stanowią analfabeci, — bibuła często trafiać musi do ludzi, którzy z niej żadnego pożytku mieć nie mogą. Oprócz tego bibuła łatwo trafić może do rąk niepożądanych, do jej wrogów, czy to z urzędu — szpiegów i urzędników, czy to z ciemnoty — ludzi, zostających pod wpływem np. księży, w wypadku, gdy bibuła jest socjalistyczną. Dodajmy jeszcze tchórzostwo, które zmusza wielu do niszczenia każdego nielegalnego druku, dodajmy ludzi zupełnie obojętnych na wszelkie wpływy, którzy ani zajrzą do podrzuconego egzemplarza bibuły, a zrozumiemy, jak mało produkcyjnym jest sposób rozrzucania. Można z pewnością powiedzieć, że dwie trzecie bibuły rozrzuconej ginie bez pożytku, pozostaje bez wpływu.

Stąd wynika druga ujemna cecha systemu rozrzucania — jego kosztowność. Wobec trudności przy sprowadzaniu bibuły i przy jej produkcji w kraju każdy egzemplarz druku zakazanego kosztuje sporo. Jak mi opowiadano, obliczenia P. P. S. wskazują, że koszta transportu podnoszą mniej więcej cenę książki lub broszury w dwójnasób. Można więc sobie wyobrazić, jakie mnóstwo pieniędzy wrzuca się najliteralniej w świecie w błoto, gdy się trzyma systemu rozsypywania i podrzucania bibuły. Przecie w tym wypadku nie może być i mowy, by wrócił choć jeden cent z pieniędzy, wydanych na wydrukowanie i przetransportowanie książki czy broszury.

Najgorszym jednak w systemie rozrzucania jest jego minimalna skuteczność pod względem organizacyjnym, jego niezdolność do przysparzania członków organizacji, do związkiwania ludzi z grupą rewolucyjną, rozsypującą bibułę. Bibuła w tym wypadku spada ludziom z nieba, otrzymują ją oni bez zaciągania przy tym jakichkolwiek zobowiązań względem tych, od kogo ona pochodzi. Więcej nawet — przy stałym stosowaniu tego systemu ludzie się przyzwyczajają do uważania

siebie za przedmiot jakichś operacji, dokonywanych nad nimi przez kogoś im obcego, nieznanego, niczym z nimi nie związanego.

Wpływ bibuły w tym wypadku, na razie może i silny, słabnie, a w każdym razie jest zupełnie nieuchwytnym — nie daje się ani zmierzyć, ani regulować. Organizacja, uprawiająca stale i jedynie system rozrzucania swych wydawnictw, staje się podobną do jeźdźca, który w ręku nie ma cugli do kierowania rumakiem. Szczególnie zgubnym jest taki skutek systemu rozrzucania dla organizacji socjalistycznej, która siłę swą czerpać musi nie tylko z świadomości ludu pracującego, lecz i z organizowania jego w swych szeregach, z udziału jego w pracach i działalności organizacyjnej. System rozrzucania bibuły stosowanym być może jedynie, jako sposób przejściowy, stopień, po którym wspiąć się można wyżej, by wyjść na normalniejszą drogę.

Zresztą, każda organizacja, która się rozwija, drogą naturalnej ewolucji dojść musi do ograniczenia, jeśli nie do zupełnego porzucenia tego sposobu. Bo gdy szeregi organizacyjne rosną w liczbę, rośnie też i ilość bibuły, potrzebowanej w łonie organizacji. A że zdolność wytwórcza organizacji dla bibuły nie jest czymś nieograniczonym, że z konieczności wzrasta ona może tylko wolno, nie gwałtownie, ilość bibuły, pozostającej dla rozrzucenia, stopniowo musi maleć, redukować się do coraz mniejszej liczby.

Znamienną jest ewolucja, dokonana pod tym względem przez P. P. S. przy rozpowszechnianiu swego organu — «Robotnika». Zaczęto od tego, że połowę nakładu, który wynosił wówczas 1200 egzemplarzy, rozrzucano. Jak mi opowiadano, stosunki organizacyjne partii podlegały w owe czasy takiej fluktuacji, że przy niektórych numerach początkowych zaledwie czwarta część nakładu szła z rąk do rąk w łonie samej organizacji. Stopniowo jednak sytuacja się polepszała z każdym miesiącem. Organizacja wznagała się, rosły też żądania bibuły.

Wobec tego rozpoczęto walkę z systemem rozrzucania bibuły. W tych stosunkach, gdzie uprawiano ten sport na większą skalę, obcinano żądania, dając mniejszą ilość «Robotnika» dla rozpowszechnienia. Pomimo to już w 1896 r. — w dwa lata po rozpoczęciu wydawnictwa — trzeba było powiększyć nakład do 1300, 1400, wreszcie do 1500 egzemplarzy. Jak mi opowiadano, walka z rozrzucaniem bibuły, a szczególnie «Robotnika», trwała dosyć długo. Ludziska ogromnie się do tego sposobu rozpowszechniania wciągnęli i przyzwyczaili. Przy-

taczano rozmaite argumenty w celu utrzymania go i nadal, a niepoślednią rolę odgrywał jakoby argument o bezpieczeństwie rozpowszechniających w ten sposób bibułę.

Z czasem jednak zwycięstwo zostało odniesionym — «Robotnika» przestano rozrzucać, a zarazem liczba jego czytelników stale wzrastała. W r. 1899 biliśmy już 1900 egzemplarzy. Od tego czasu nakład nie wzrastał. Na przeszkodzie stoją warunki techniczne. Przy wzrastaniu liczby odbijanych egzemplarzy wzrastać też musi, rzecz prosta, i czas, zużyty na pracę przy maszynie, i «Robotnik», który już teraz wymaga 15—16 dni dosyć ciężkiej roboty, musiałby ukazywać się rzadziej.

W tych warunkach, jak mi opisywano, zarząd partyjny zmuszony jest obcinać wszelkie żądania «Robotnika», odmawiać stale natarczywym wymaganiom poszczególnych organizacji co do zwiększenia ilości otrzymywanych egzemplarzy pisma. Czytelnicy, którzy z konieczności zastosować się musieli do tego postanowienia, znaleźli radę na nieszczęście. Nastąpił proces, że go tak nazwę, zrzekania się czytelników «Robotnika». Polega on na tym, że grono ludzi, dobrze znających się wzajemnie, umawia się o kolejkę, jaką obiegnie nowy numer «Robotnika» całe zrzeszone koło. Grono ludzi, w ten sposób zrzeszonych, składa się nieraz z 10 stałych czytelników bibuły. Najbardziej rozpowszechnionym jest ten nowy sposób w najstarszych, dobrze ugruntowanych organizacjach, które, rzecz prosta, są najbardziej przez zarząd partyjny krzywdzone przy podziale nakładu «Robotnika» na rzecz nowych, zawiązujących się organizacji.

Nie trzeba jednak sądzić, że podrzucanie bibuły zostało zaniechanym w zupełności. Praktykuje się ono dotąd, nieraz na szeroką skalę, lecz w każdym wypadku posiada ono cechy pewnej celowości i spowodowane jest chęcią wywołania z góry określonego efektu. Przede wszystkim więc podrzuca się bibułę ludziom, których się chce wypróbować.

Zrozumiałą jest rzeczą, że przy okrutnych prześladowaniach, jakie spadają na organizacje rewolucyjne pod caratem, trzeba być bardzo ostrożnym przy przyjmowaniu nowych członków do organizacji. Trzeba zbadać nie tylko przekonania i poglądy kandydata, lecz i jego charakter osobisty. Takim probierzem zarówno poglądów, jak charakteru bywa nieraz egzemplarz bibuły, podrzucony badanemu kandydatowi. Co kandydat z bibułą zrobi — zniszczy ją, czy puści dalej, odda ją w ręce władzy rządowej lub fabrycznej, co będzie mówił o podrzuconym egzemplarzu druku — wszystko to bierze się w rachubę, zważa się i ocenia.

Opowiadano mi o jednej takiej próbie, dokonanej w mrocznych korytarzach którejs kopalni w Zagłębiu Dąbrowskim.

Ludzie, zorganizowani w tej kopalni, mieli chrapkę na jednego z górników, który podobał się z powodu dosyć wysokiego poczucia godności osobistej, jakim ów kolega pracy wyróżniał się z pomiędzy otoczenia. Lecz górnik był mrukiem i niechętnie prowadził rozmowy, trudno więc było go wysondować. Postanowiono dla próby podrzucić mu egzemplarz «Górnika». Położono bibułę w załomie filaru węglanego, obok miejsca, gdzie ów górnik zwykł był składać różne rzeczy, gdy mu zawadzały przy robocie.

Sprawdzono, że bibuła znikła, więc górnik, badany przez towarzyszków, musiał ją zabrać, lecz wobec milczenia nie można było określić stosunku jego do bibuły i idei, przez nią reprezentowanej. Postanowiono prowadzić próbę dalej. Gdy wyszedł nowy numer «Górnika», podrzucono go znowu. Numer ten znikł, jak poprzedni, i kilka dni minęło bez żadnego widocznego rezultatu. Towarzysze organizacyjni byli zniechęceni i zamierzali zaniechać dalszych badań w tym kierunku, lecz na usilne prośby jednego z nich, który najbliżej znał badanego kolegę, zaryzykowano raz jeszcze.

Po trzecim numerze milczący górnik przemówił. Naza jutrz po otrzymaniu bibuły zwrócił się on do kolegi, który go protegował w organizacji, i prosił go o radę. Opowiedział mu o trzykrotnym podrzuceniu i wyznał, że mu gazetka spodobała się ogromnie. Nasz towarzysz udał, że nie rozumie, o co chodzi.

— Jaka gazetka? — pytał, — żadnej nigdy nie widziałem.

Górnik pod wielkim sekretem dał mu do przeczytania wszystkie trzy numery. Koledzy zeszli się znowu i długo gawędzili o różnych sprawach, poruszanych przez «socjalne» pismo.

Pomiędzy innymi badany górnik chciał sobie rozstrzygnąć pytanie, skąd pochodzi podrzucone mu pismo.

— Nie skarbnik *) przecie — rozumował, — on się tym nie zajmuje. Musi to robić ktoś obchodzący kopalnie w tym celu. I wiesz — dodał — co mnie męczy? Drukowanie takich rzeczy musi kosztować sporo pieniędzy. W gazetce na końcu są nawet pokwitowania, więc ktoś wydawcom za gazetkę płaci.

*) Według legend górniczych istnieje duch opiekuńczy, zwany «skarbnikiem», który od czasu do czasu ukazuje się w kopalniach, szczególnie, gdy ma się zdarzyć wypadek z ofiarami ludzkimi. Przeważnie ukazuje się on w ubraniu sztygarów pruskich, jakie noszono niegdyś przy początkach górnictwa w Zagłębiu.

A mnie wstyd, żem już trzy numery otrzymał i ani grosza za to nie zapłacił. Zapewne ten, kto gazetę roznosi, łaje mnie. «Łajdak, — mówi, — gazetę czytasz, chwalisz ją, a złamanego szeląga od ciebie nie widzę». Łamałem już sobie głowę nad tym, jak to urządzić, by pieniądze do gazety doszły. Odłożyłem już na ten cel pół rubla z ostatniej wypłaty. Ale jak to zrobić?

— Jak sądzisz? — pytał, — czy dobrze będzie tak, jak teraz sobie wykombinowałem. Ten, kto chodzi i gazetkę rozrzuca, oczekuje pewnikiem, że pieniądze za gazetkę będą położone w tym samym miejscu, co i pismo. Musi je znaleźć. Co?

Przyjaciel zgodził się, że to projekt najpewniejszy. Tak też nasz górnik postąpił. Gdy znalazł po raz czwarty pismo, położył na to miejsce 50 kopiejek i odszedł. Naturalnie, towarzysz, który już o tym wiedział, zabrał pieniądze i ku wielkiemu zadowoleniu ofiarodawcy w następnym numerze w pokwitowaniach było wydrukowane: Z filaru w chodniku takim to za gazetę 50 kopiejek.

Bibułę podrzucają również ludziom, których podejrzewają o ściślejsze stosunki z policją lub władzą fabryczną, a to w celu skontrolowania, co taki pan z podrzuconym egzemplarzem robi. Fakt oddania bibuły w ręce tej lub owej władzy świadczy o złej woli człowieka i nakazuje być ostrożnym z nim we wszystkich sprawach.

Poza tym podrzucanie bibuły jest praktykowane w stosunkach, mało zbadanych, nie szeroko rozgałęzionych, lub w takich, do których zwyczajną organizacyjną drogą na razie trafić niepodobna. Przez dłuższy czas sposób ten praktykowano w stosunku do ludności wiejskiej w okolicach podmiejskich. Do ostatnich czasów, gdy partia rozpoczęła prawidłową działalność wśród ludu wiejskiego, bibuła partyjna szła na wieś przeważnie takim właśnie pierwotnym sposobem.

W niedzielę lub święto, szczególnie latem, robotnicy opatrywali się w przeczytaną już i zbyteczną bibułę i wyruszali za miasto, by wetknąć ją gdziekolwiek na wsi. Naturalnie, urządzano podrzucanie w ten sposób, by egzemplarz bibuły jak najprędzej wpadł w oko komukolwiek. Prawie w każdym mieście, w którym P. P. S. ma stosunki wśród ludności robotniczej, znajduje się kilku takich amatorów wędrówek zamiejskich w celu podrzucenia paru egzemplarzy bibuły w tej lub owej wsi podmiejskiej.

Na większą skalę organizowała P. P. S. rozrzucanie bibuły wśród wieśniaków w czasie odpustów w Częstochowie, gdy pod Jasną Górą zbiera się z różnych stron kraju do setki

tysięcy pobożnych pątników. Opowiadano mi o wypadku, gdy w czasie jednego z odpustów rozrzucono i rozdano 10 tysięcy egzemplarzy wydawnictw socjalistycznych, specjalnie w tym celu wybranych z asortymentu partyjnego. Mówię — rozdano, bo niektórzy z cwaniaków warszawskich, posłanych do Częstochowy dla wykonania planu, posunęli swą śmiałość do tego, że krążyli w tłumie, pytając ludzi, czy umieją czytać? Dawano książki tylko tym, którzy na to pytanie odpowiadali twierdząco.

Takim amatorem puszczenia na wieś bibuły był pomiędzy innymi zmarły na wygnaniu w Syberii towarzysz Błażejewicz ¹⁾, stolarz warszawski, który należał do pierwszych organizacji socjalistycznych w Warszawie. Wysłany na Sybir jeszcze przed zawiązaniem pierwszej partii socjalistycznej w Polsce Proletariat, wrócił z wygnania po kilku latach i, gdy mu zabroniono mieszkać w Warszawie, osiadł w Wilnie.

Tutaj stary wyga rewolucyjny puścił wodze swemu temperamentowi. Zawsze chodził obładowany broszurami, które wtykał ludziom przy każdym spotkaniu. Szczególnie jednak lubiał operować na dworcu kolejowym w czasie dorocznej pielgrzymki pobożnych wieśniaków do Kalwarii pod Wilnem, gdy przed każdym pociągiem w sali trzeciej klasy znaleźć można tłumy siermiężnych chłopów. Błażejewicz wpadał do tego tłumu, wyszukiwał wśród niego inteligentniejsze twarze, rozpoczynał rozmowę, wreszcie zapytawszy, czy chłop umie czytać po polsku, dawał mu książeczkę.

— *Na, schawaj!* — mówił po białorusku, — *ad biskupa*.

Wychowaniec starej szkoły rewolucyjnej nie chciał się pozbyć różnych demagogiczno-klerykalnych zwrotów, którymi otwierał serca chłopów. Jak mi opowiadano, młodsze pokolenie rewolucyjne staczało z nim o to «ad biskupa» długie walki, lecz przekonać go nie mogło.

W ogóle wieś, przy braku porządnie zorganizowanej policji oraz przy naiwności i zaufaniu do druku swych mieszkańców, zawsze jest idealnym terenem dla operacji rozrzucania bibuły. A wobec tego, że stosunki organizacyjne — przynajmniej w organizacjach socjalistycznych — na wsi mogą być tylko skutkiem poważniejszego ich rozwoju w miastach, wszystkie młode organizacje zaczynały na wsi robotę od rozrzucania wśród wieśniaków bibuły. Pomiędzy innymi rozru-

¹⁾ Działacz socjalistyczny, Maciej Błażejewicz, były uczestnik powstania 1863. Aresztowany wielokrotnie, zmarł na zesłaniu w Minusku w r. 1897.

chy chłopskie w guberniach Połtawskiej i Charkowskiej, rozruchy, które niedawno tyle narobiły hałasu, były skutkiem rozrzucenia w tych okolicach całego mnóstwa bibuły ukraińskiej, przeważnie tłumaczenia doskonałej broszury polskiej «Ojciec Szymon».

Ale i na wsi, rzecz prosta, przy rozwoju stosunków ewolucja kolportażu musi doprowadzić do stopniowego zarzucania pierwotnego systemu i przechodzenia do wyższego typu rozpowszechniania bibuły. Tym wyższym typem rozpowszechniania bibuły jest kolportaż właściwy — oddawanie druku nielegalnego z ręki do ręki w zamian czy to pieniędzy, czy też tych lub innych zobowiązań względem organizacji partyjnej. Ten typ jest obecnie w P. P. S. najbardziej rozpowszechnionym, jest stałym niejako prawem, regułą, względem której inne sposoby są wyjątkami.

Bibuła periodyczna z centrów partyjnych, a broszurowa i książkowa z detalicznych składów-księgarń dostaje się do rąk pierwszych odbiorców. Ci przeważnie biorą ją nie dla siebie, lecz dlatego, że mają zamówienia odpowiednie do innych, dalej od ognisk partyjnych stojących towarzyszków. Jest to drugi stopień, po którym bibuła schodzi w głąb ludową. Najczęściej druk zakazany na tym stopniu nie zatrzymuje się długo. Niekiedy, mianowicie, gdy zaszła co do książki lub numeru pisma odpowiednia umowa, bibuła wraca znowu na pierwszy stopień, by wyruszyć w inną stronę, przeważnie jednak po pewnym czasie idzie ona dalej w świat.

W pierwszym wypadku formuje się coś w rodzaju wypożyczalni bibuły. Egzemplarz jej raz po raz zmienia czytelnika, lecz zawsze wraca do pierwotnego jej posiadacza — zwykle członka organizacji partyjnej. Prawie w każdej organizacji lokalnej istnieje lub istnieją takie wypożyczalnie, liczące tytuły dziesiątkami. Są amatorowie takiego właśnie systemu rozpowszechniania bibuły. Ci usilnie starają się, by wypożyczalnia posiadała możliwie wszystkie wydawnictwa partyjne, by zadowolić mogła każde wymaganie klientów.

Kiedym był redaktorem «Robotnika», miałem podręczny komplet naszego pisma. Przypadkiem spaliłem wraz z niepotrzebnymi papierami jeden z pierwszych numerów «Robotnika». Zmartwiony byłem tą stratą, gdyż przypuszczałem, że jest ona do niepowetowania. Pięć lat minęło od wydania numeru i trudno było przypuszczać, by gdziekolwiek w organizacji krajowej, podlegającej tylu perturbacjom — rewizjom i aresztowaniom — mógł się zachować tak dawny numer.

Po pewnym czasie dostarczono mi ów zaginiony numer.

Powiedziano mi, że pochodzi on z takiej właśnie wypożyczalni w Zawierciu, osadzie fabrycznej pomiędzy Dąbrową i Częstochową. Dodano przy tym, że towarzysz, zarządzający wypożyczalnią, był ogromnie zmartwiony koniecznością zdekompletowania swego zbioru, lecz zrobił ofiarę przez wzgląd na potrzeby redakcyjne. Egzemplarz, który w owe czasy był dla mnie ciekawym okazem, swym zewnętrznym wyglądem dawał wspaniałe świadectwo swej służby.

Był to druk zaczytany i przechodzony co się zowie. Głębokie rysy, idąc w różnych kierunkach, świadczyły, że go zginano rozmaicie, odpowiednio do wielkości tej lub owej kieszeni.

Każda stronica nosiła ślady dotknięcia ręki, zatłuszczonej lub pokrytej sadzą. Rogi dolne arkusików od częstego zetknięcia się z palcami czytelników były albo oddarte, albo też, gdy się zadzierala i część tekstu, podklejone nowym papierem. W wielu miejscach druk stał się prawie nieczytelny i jakaś troskliwa ręka porobiła na marginesach odpowiednie dodatki. Kartki były podziurawione w kilku miejscach — świadectwo, że już kilkakrotnie egzemplarz «Robotnika» podlegał operacji zszywania. Słowem, widocznym było, że w ciągu ubiegłych pięciu lat egzemplarz bibuły nie próżnował i przechodził ustawicznie z rąk do rąk, od jednego czytelnika do drugiego.

Ile to — myślałem — takich zaczytanych egzemplarzy bibuły przechowuje się, jak świętość, w różnych zakątkach Polski! Ilu to ludzi starannie podkleja rozszarpane kartki, zszywa i pielęgnuje te ćwiartki zadrukowanego papieru! Przyznam się otwarcie, po obejrzeniu tego szacownego egzemplarza druku zakazanego byłem nieco wzruszony i z podwójną przyjemnością siadłem do pracy nad nowym kolegą opisanego weterana ruchu rewolucyjnego.

Druga, większa część bibuły nie wraca, jak to powiedziałem, do pierwotnych posiadaczy druków — organizatorów kolporterki. Idzie ona dalej, spuszcza się jeszcze głębiej w morze ludowe. Im dalej egzemplarz bibuły odsuwa się od ogniska partyjnego, tym bardziej niknie kontrola nad jego poruszeniami i nad wpływem jego na czytelników i otoczenie.

Bez wątpienia, część takiej bibuły zostaje zniszczona, inna część trafia przy rewizjach do rąk żandarmów i prokuratorów, wzbogacając archiwa rządowe. Lecz bodaj największa ilość wędruje z rąk do rąk, zataczając niekiedy szerokie bardzo koła, zaglądając do zakątków, o których ani się śniło tym, co dany egzemplarz w ruch puścili. Jak powiedziałem, jaka-

kolwiek kontrola, jakiegokolwiek obliczenie dla tej ostatniej części bibuły jest zupełnie niemożliwe.

Fakt istnienia czytelnictwa pozapartyjnego jest niezaprzeczalnym i nieraz próbowano, choć w przybliżeniu, obliczyć jego rozmiary. Dla wielkich miast, dużych skupień ludzkich, w których pojedynczy ludzie przeważnie mało się znają, takie obliczenie jest, naturalnie, niemożliwe. Lecz w mniejszych miasteczkach, gdzie życie prowincjonalne zbliża ludzi do siebie i pozwala na skuteczniejszą obserwację otoczenia, obliczenie podobne może mieć pewne cechy prawdopodobieństwa.

Opowiadano mi, że jedna z organizacji lokalnych, pracująca w sporym miasteczku fabrycznym, postanowiła określić, ilu też robotników w fabrykach miejscowych czyta bibułę P. P. S-ową. Specjalnie zajmowała ich ta kwestia w stosunku do najulubieńszego dziecka partyjnego — «Robotnika». Przy badaniach i poszukiwaniach postępowano nadzwyczaj ostrożnie i wszelkie wątpliwe wypadki odrzucano, nie wciągając ich do rachuby.

Przy obliczeniach kierowano się wrażeniami z rozmów koleżeńskich. Z nich każdy obserwacyjny umysł z łatwością wywnioskować może o wpływach, którym obserwowany podlega. Słowa i określenia różnych stosunków, nawet zdania całe, żywcem z «Robotnika» wyrwane, łatwo zdradzają czytelników jego. Otóż obrachowano, że w owym miasteczku, liczącym do 20 tysięcy mieszkańców, jest z pewnością nie mniej, niż 400 stałych czytelników «Robotnika». A że organizacja otrzymywała dla rozpowszechnienia 40 egzemplarzy tego pisma, wywnioskowano, że przeciętnie liczyć trzeba w każdym miejscu po 10 czytelników na każdy egzemplarz «Robotnika».

Nie da się zaprzeczyć, że powyższe obliczenie jest nadzwyczaj nieściśłym. Lecz, jeśli chodzi o poprawkę w nim, to bym ją zrobił w kierunku powiększenia wyniku cyfrowego. Powiększenie takie jest koniecznym, gdy się uwzględni wędrówki bibuły nie tylko w obrębie danej miejscowości, lecz i dalsze — do innych miast, miasteczek i wsi.

Faktem jest niezaprzeczonym — opowiadali mi o nim wszyscy ludzie, którzy się stykali z robotą partyjną w różnych miejscach kraju — że bibuła wszędzie wyprzedza organizację. Każdy nowy punkt, do którego tą lub inną drogą wkracza organizacja, każdy nowy stosunek w tym lub owym miejscu miał już przed tym bibułę. Skąd? jaką drogą? — najczęściej trudno nawet zbadać. Wypadki zaś, gdy ta kwestia została rozstrzygniętą, wskazywały, że bibuła potrafi wędrować o setki

kilometrów, przerzucać się z miejsca na miejsce drogami, zupełnie niemożliwymi do przewidzenia i uregulowania. Opowiadano mi, że w ostatnich czasach, gdy partia rozpoczęła szerszą działalność na wsi, spotkano się z tym samym zjawiskiem — bibuła partyjna już dotarła i tam, wyprzedzając organizatora lub agitatora partyjnego.

Jeden z towarzyszków, który przez dłuższy czas pracował po różnych prowincjonalnych dziurach, opowiadał mi o zabawnych odkryciach, jakie niekiedy robił przy stykaniu się z nowymi stosunkami.

— Wiesz — mówił mi, — mam trochę patriotyzmu lokalnego. Czuję specjalne przywiązanie do miasta, gdzie się urodził i spędził swe dzieciństwo. Otóż, gdy się stał socjalistą i zaczął pracować w organizacji P. P. S-owej, irytowało mnie niezmiernie, że w moim rodzinnym mieście jest tak cicho, jak makiem posiał. Za każdym razem, gdym otrzymywał «Robotnika», przeglądałem go od początku do końca, chcąc w nim wynaleźć choćby najlżejszą wzmiankę o mieście, które mnie tak żywo obchodziło — zawsze byłem rozczarowany. Moje N. N. spało widocznie w najlepsze.

— Wyobraź więc sobie — mówił dalej — moją radość, gdy przez robotników warszawskich otrzymałem adres jakiegoś rzemieślnika w moim rodzinnym mieście. Rzemieślnik ten był krewnym jednego z naszych warszawskich towarzyszków, który zapewniał, że jego kuzyn z chęcią by utrzymywał stosunki z partią i pomógłby, być może, do zawiązania tam lokalnej organizacji partyjnej.

Rozpytywałem najstaranniej, czy posyłano kiedy bibułę, lecz na to nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Wobec tego wziąłem z sobą komplet wydawnictw nowych i dawniejszych i wyruszyłem w drogę. W drodze ustawicznie się przygotowywałem do rozmowy z ludźmi, którzy nic, albo prawie nic o socjalizmie, a tym bardziej o partii i jej życiu, nie wiedzą. Uplanowałem sobie, od czego zacznę, jak poruszę tę lub ową sprawę.

Wreszcie przyjeżdżam do owego rzemieślnika, wskazanego mi z Warszawy. Opowiadam mu się, jak należy, powołuję się na krewniaka i mówię, z czym przyjechałem. Przyjmuje mnie chłop serdecznie, jak anioła, zesłanego mu z nieba. Na wieczór obiecuje mi zgromadzić kupę ludzi odpowiednich. Wiem, co to oznacza w początkach ruchu. Na takie zebranie ściągają mnóstwo ludzi, bez wątpienia zacnych i pocziwych, lecz będących w większości wypadków, jako materiał organizacyjny, zupełnym zerem, ludzi, którzy chętnie słuchają,

o czym to przyjezdny «pan» mówi, ale którzy co najwyżej będą jedynie czytać to, co im wsuną w rękę.

Wobec tego uprzedzam mego gospodarza, że chciałbym się zobaczyć tylko z takimi ludźmi, którzy mogliby pracować razem z nami nad rozwojem sprawy. Tłumaczę mu, że lepiej na początek mieć do czynienia z niewielką garstką ludzi, chcących robić, niż z wielu słuchaczami.

— Wiem, wiem — przerwał mi dowodzenie gospodarz — sprowadzę tu tylko tych, co już coś niecoś robią, co już są zorganizowani.

Ostatnie słowa wymówił z pewną dumą.

— Zorganizowani? — spytałem zdumiony, — to wy już macie organizację?

— A jakże — odparł urażony rzemieślnik — organizację socjalistyczną.

Coraz bardziej zdziwiony zacząłem rozpytywać o tę organizację. Okazało się, że pod wpływem bibuły, która do mego miasta Bóg wie jakimi drogami zawędrowała, u kilku rzemieślników powstała myśl zawiązania organizacji, a raczej kółka. Członkowie tej samorzutnej organizacyjki zbierali się regularnie, obgadywali różne sprawy lokalne, czytali wspólnie legalne i nielegalne książki, jakie im trafiały do rąk. Mój nowy znajomy obiecał mi przynieść spis bibuły, będącej u nich na składzie, który zarazem był wypożyczalnią, obsługującą, jak się okazało, dosyć szerokie grono ludzi poza ścisłym kołem początkowym.

Wieczorem zebraliśmy się. Było nas niewielu — siedmiu czy ośmiu zaledwie. Rozpocząłem przygotowane już elementarne przemówienie. Słuchacze moi kiwali, co prawda, potwierdzająco głowami, lecz odczuwałem, że ich nie wzruszam. Zrozumiałem, że mówię im o rzeczach, dawno przez nich przetrawionych, i że widocznie oczekują oni ode mnie czegoś innego. Spróbowałem z innej beczki.

Zacząłem mówić o historii ruchu socjalistycznego w Polsce. Gdym doszedł do Proletariatu i zaczął mówić o bohaterkiej śmierci czterech powieszonych na stokach cytadeli towarzyszków, przerwano mi opowiadaniem, że kółko, z którym miałem do czynienia, urządzało u siebie obchód rocznicy śmierci proletariadczyków. Jak się okazało, trafił do nich numer «Robotnika» z odpowiednim artykułem i ta nieznana, niezwiązana z całością ruchu grupka wbrew swemu odosobnieniu stanęła do apelu w tym wypadku. Byłem tym nieco wzruszony, mówiłem więc prawdopodobnie ciepłej i serdeczniej, tak, że w końcu zaprzyjaźniliśmy się na dobre.

W końcu zaczęto mię zasypywać pytaniami, żądaniem wyjaśnień w tej lub owej kwestii. Widocznym było, że przy czytaniu bibuły partyjnej powstawały w głowach członków organizacyjki wątpliwości, spory i teraz korzystano z mojej obecności, by lepiej rzecz wyjaśnić czy nawet ją rozstrzygnąć. Bawiło mię osobliwie, gdy mię pytano o sprawy, dawno przebrzmiałe, o których w Warszawie zupełnie zapomniano, a które tutaj żyły w umysłach pod wpływem «gorącego oddechu» świeżo przeczytanego słowa drukowanego.

Wyjechałem z mego rodzinnego miasta szczerze wzruszony i uradowany, a szacunek dla potęgi «bibuły», którą zakuć w kajdany nie potrafili nasi wrogowie, wzrósł ogromnie.

Z takim wpływem bibuły — ciągnął dalej ów towarzysz — bibuły, która wyszła spod kontroli partii i wędruje po kraju niezbadanymi drogami, spotkałem się i na wsi, gdym rozpoczął tam robotę partyjną.

Razu pewnego udałem się na wieś w dosyć głuchym, odalonym od naszych ognisk partyjnych zakątku, by nawiązać organizacyjny stosunek z paru chłopami, wskazywanymi mi przez wieśniaków podmiejskich, z którymi byłem już dawniej ustosunkowany. Zabrałem z sobą, jak i w poprzednim wypadku, odpowiedni asortyment bibuły. Gdym po wstępnych rozmowach w onej wsi pokazał bibułę chłopom, ci okazali się obznajomieni z większością broszurek przywiezionych. Ba, wymagano ode mnie, bym przywiózł inne broszury i nawet pisma, wymawiając tytuły z pewną chełpliwością.

Zacząłem rozpytywać, skąd pochodzi ta nieoczekiwana przeze mnie znajomość z naszą literaturą partyjną. Dopytałem się wreszcie do źródła. Okazał się nim włościanin z sąsiedniej wsi, który — jak się dowiedziałem potem — miał brata w Łodzi, pracującego w przędzalni. Naturalnie, złożyłem wizytę temu gospodarzowi.

Był to chłop mądry. Rozprawiał z pewnym namaszczeniem o różnych rzeczach i sprawach, które przeważnie są obce nie tylko chłopom, lecz i przeciętnym robotnikom miejskim. Był abonentem jednej z legalnych gazet ludowych, a oprócz tego posiadał biblioteczkę. Zajrzałem do niej. Czego tam nie było? Trylogia Sienkiewicza obok tandentnych utworów Rodziewiczówny, parę tomików Orzeszkowej, Mickiewicza, masa książeczek ludowych, podręcznik fizyki i chemii, gruby rocznik «Gazety Rolniczej» obok «Biesiady Literackiej» — a wszystko to razem pomieszane z mnóstwem wydawnictw nielegalnych.

Z tych ostatnich były i broszurki socjalistyczne, parę nu-

merów «Robotnika», «Przedświtu» i «Przeglądu Wszepocholskiego» z różnych lat i miesięcy. Widocznym było, że właściciel księgozbioru brał wszystko, co mu trafiło wypadkiem do ręki, i latami całymi układał tę pstrą biblioteczkę. Z rozmowy dowiedziałem się, że biblioteczka była zarazem i wypożyczalnią, gdyż właściciel książek chętnie dawał do czytania swym sąsiadom tę lub ową książkę czy broszurę.

Ale w tym księgozbiornie było swego rodzaju sanctuarium, stanowiące niepodzielną własność gospodarza. Był w nim ciekawy zbiór odezów różnych organizacji nielegalnych w Polsce. Widocznie nieco napuszony, agitacyjny styl odezwyw trafił do gustu i przekonania mego gospodarza, gdy tak umiłował i tak skrętnie zbierał tego rodzaju literaturę. Były w tym zbiorze odezwy rozmaitego gatunku — socjalistyczne i patriotyczne, traktujące o strejkach i o wypadkach politycznych, drukowane i hektografowane. Niektóre z nich były widocznie przepisane z drukowanych egzemplarzy. Były to, jak mi wytłumaczył gospodarz, takie, które brat jego w Łodzi miał w rękę na czas pewien, nie na własność.

Najzabawniejszym było, że gospodarz swe amatorstwo do odezów posunął do tego stopnia, że miał w swym zbiorze jedną odezwę rosyjską i dwie żydowskie, których, naturalnie, nie był w stanie przeczytać. Rosyjską przetłumaczyłem mu, za co serdecznie mi dziękował, a co do żydowskich, obiecałem mu również dostarczyć tłumaczenie i zanotowałem daty odezów, by wiedzieć, o które mianowicie w tym wypadku chodzi.

Mówiąc o kolportażu, niepodobna pominąć finansowej jego strony. Znaną jest rzeczą, że nawet w normalnych — nie rosyjskich — stosunkach wydawcy mają duże kłopoty z wydobyciem monety przy kolportażu wydawnictwa i zawsze liczyć muszą na pewien procent straty w tym interesie. Naturalnie, że w warunkach politycznych zaboru rosyjskiego straty te muszą być znacznie poważniejsze.

Jak już wykazywałem, prześladowania rządowe wytwarzają z konieczności złożony system pośrednictwa przy rozpowszechnianiu bibuły. Pieniądze za nią idą drogą odwrotną, również z ręki do ręki, przechodząc nieraz przez kilka ogniw pośrednich, nim dojdą do ludzi, prowadzących interes wydawniczy. Przede wszystkim więc kontrola i rachunki muszą być ogromnie utrudnione, a zagmatwanie interesu zwiększa się jeszcze bardziej z powodu niemożliwości prowadzenia ani porządných ksiąg rachunkowych, ani listy kolporterów.

Rachunki są zapisywane na kartkach, mogących być ła-

two zniszczonymi, w sposób zawily i niezrozumialy, by w wypadku wpadniecia ich w rece zandarmow nic z nich nie mozna bylo wynioskowac.

Gdy sie w dodatku zważy, ze ciagle rewizje i aresztowania raz po raz wyrwywaja posredniczace ogniwa kolportażu, ze nawet obawa przed rewizją spowodowuje zniszczenie tego lub owego rachunku — mozna sobie wyobrazic, jak wielkim jest zamęt w tym interesie i jak trudno zdać sobie jasno sprawe z jego stanu. To tez wąpie, by ktokolwiek z ludzi, najlepiej nawet znajacych sprawe kolportażu, mógł przedstawic choc jako tako wiarygodne cyfry pod tym wzgledem. Przynajmniej moje rozpytywania i badania w tym kierunku nie daly mi nawet zadnej nici przewodniej, zadnego probierza w tej sprawie. Istnieja tylko ogolne wrazenia, wyniesione z dluzszej roboty przy interesie u tych czy innych dzialaczy partyjnych. Dadza sie one streścić w sposob nastepujacy:

Jedna z glownych przeszkod do prawidlowej sprzedazy broszur i pism zakazanych jest przyzwyczajenie w wiekszych miastach do otrzymywania bibuly darmo. Ruch socjalistyczny wlasnie sie w tych wiekszych miastach rozpoczal, a pierwsze stadia jego, jesli odznaczaly sie ogromnym zapalem i poswieceniem, to brakowalo im ladu i porzadku. Oprócz tego trzymano sie systemu rozpowszechniania bibuly za pomoca rozrucania, wpychania jej gwaltem. I oto, jako jeden ze skutkow tego rodzaju roboty, jest niecheć do placenia za bibule.

— Nie masz wyobrazenia — mowil mi jeden z towarzysow, który przez dluzszy czas pracowal w Warszawie, — jak trudno wprowadzic w zycie regularne placenie za wydawnictwa. Zdawaloby sie, coz prostszego — oto masz tyle to egzemplarzy takiej to broszury, sprzedaj je za taka to sume, a jesli ci sie to nie uda zupełnie lub w czesci, zwroc wszystko lub niesprzedana reszte. Gdzie tam! robotnicy u nas zgoda sie dac skladke na partie, niekiedy nawet przenoszaca wartosc tej bibuly, ktora przeczytali. Lecz placic za kazdy egzemplarz, sprzedawac bibule — na to zgadzaja sie z trudnością.

— Znajdziesz wielu, — dodal jeszcze, — ktorzy sa zasadniczymi przeciwnikami handlu bibula. Twierdza oni, ze w ten sposob zmniejsza sie powaga i sila jednej z glownych podstaw naszego ruchu — ofiarnosci. Slowem, mozna sie nasluchac najrozmaitszych argumentow, od najblahszych do powaznych, zaczerpnietych i z praktyki, i z etyki, a skierowanych przeciwko sprzedazy prawidlowej wydawnictw.

— Partia nasza — mowil mi inny — stara sie przeprowadzic reforme w rozpowszechnianiu bibuly za pomoca pra-

widłowego kolportażu. Dotąd pewne rezultaty osiągnięto jedynie przy rozpowszechnianiu wydawnictw broszurowych i książkowych. Dla «Robotnika», ogromnie trudno, niekiedy niepodobna wprowadzić w życie tę reformę — w tym wypadku trzeba się zadawać składkami. I bodaj główną przyczynę względnego powodzenia reformy co do bibuły broszurowej zawdzięczać należy temu, że przy rozroście stosunków jest jej za mało. Popyt znacznie przewyższa w tym wypadku podaż, wtedy, gdy «Robotnik» przychodzi stale w określonej zgóry ilości, do której się ludziska przyzwyczajają.

— Tym czasem — tłumaczył mi dalej — raz po raz się zdarza, że się dowiadujemy o handlu naszą bibułą poza nami. W dodatku ceny w takich wypadkach są zawsze wyższe niż te, które my swym kolporterom naznaczamy. Jest to dowodem, że prawidłowy kolportaż — naturalnie, z uwzględnieniem *viris maioris*, żandarmów, rewizji i aresztowań — jest u nas możliwym i oprzećby na nim można zarówno działalność wydawniczą, jak prawidłowe sądy o wartości tego lub innego wydawnictwa.

Co do określenia części, czy to dochodów z rozprzedaży bibuły, czy też stosunku druków rozprzedawanych do rozdanych, to ani z rozmów, ani z danych partyjnych żadnego wniosku wyciągnąć nie mogłem. Najwidoczniej reforma, o której mówiłem wyżej, jest jeszcze tak świeżej daty, że niepodobna oznaczyć jej wyników.

Napomknąłem wyżej o zrzeszaniu się czytelników «Robotnika» w grona i kółka, które zadawają się jednym egzemplarzem pisma. Jest to najwyższy typ czytelnictwa, osiągnięty dotąd. Typ ten umożliwia rozszerzenie koła czytelników, nie wymagając dosyć trudnego ze względów technicznych powiększenia produkcji drukarnianej. W zysku zaś otrzymuje się oprócz tego zacieśnienie węzłów organizacyjnych pomiędzy zrzeszonymi czytelnikami, co przy gwałtownym dążeniu ze strony rządu do rozatomizowania społeczeństwa, trzymania go, jak się nieraz wyraził były minister finansów carskich, p. Witte, w stanie sproszkowanym, ma niepoślednie znaczenie. Życzyłby więc należało, by właśnie ten typ stopniowo otrzymywał przewagę nad innymi i stał się regułą, przynajmniej dla «Robotnika» i innych pism partyjnych.

Specjalnym rodzajem bibuły, wymagającym też specjalnego sposobu rozpowszechniania, są odezwy, wydawane przez centralny i lokalne komitety partyjne. Komitety te zwracają się ze swymi odezwami do szerokiego ogółu, nawołując go do jakiegokolwiek czynu lub wystąpienia, albo też tłumacząc zna-

czenie jakiegokolwiek wypadku, zajmującego w danej chwili umysły publiczności. Nie chodzi tu o przekonanie lub kierowanie opinią wśród członków organizacji — do tego istnieją zwykle organizacyjne drogi, — lecz o wywarcie wpływu natychmiastowego na ludzi, stojących poza organizacją, nie należących do jej szeregów bojowych.

Wobec tego koniecznym jest, by odezwa była rozpowszechniona, «puszczona» — jak o tej akcji mówią rewolucjoniści — jak najszerzej, by jak najwięcej o niej gadano i dyskutowano. Im więcej się hałasu, zwracającego powszechną uwagę, zrobi przy puszczeniu odezw, tym łatwiej osiągnąć cel: owładnąć opinią, przykuć jej uwagę w potrzebnej chwili do tego, a nie do innego zjawiska, do takiego, a nie innego sposobu pojmowania sprawy.

Trzeba przyznać, że wielce pomocnym właśnie w reklamowaniu — że się tak wyrażę — odezw jest sam rząd. Odezwy należą do rzeczy, najbardziej drażniących agentów rządowych — policjantów i żandarmów, osobliwie pierwszych, którzy przeważnie odznaczają się kapitalną głupotą i brakiem taktu politycznego. Robią oni zwykle tyle hałasu z powodu każdej odezwy, latają, jak opętani, po mieście, chwytają najniewinniejszych ludzi, by wykazać swą troskliwość o dobro cara, że nawet głusi usłyszają o odezwach, ślepi je dojrzą, a zwykła ciekawość ludzka zmusi publiczność do wyszukiwania przyczyn nadzwyczajnego rozjątrzenia niedźwiedzia policyjnego. Szczególnie na prowincji w takich wypadkach policja, obudzona ze słodkiej drzemki, dostaje jakiegoś ataku szału i wściekłości, tym śmieszniejszego, że w warunkach życia prowincjonalnego, widocznego dla całego otoczenia.

Atak zostaje w dodatku zwiększony przez okoliczność, że fakt rozrzucenia odezwy wchodzi w zakres działalności dwóch instytucji, konkurujących zwykle pomiędzy sobą — żandarmerii i policji zwyczajnej. W normalnych czasach policja podlega niejako żandarmerii i musi wypełniać jej rozkazy, ale swoją drogą z zawiścią patrzy na wpływy «fijolków» i chciałaby wykazać, że jest równie uzdolnioną do tropienia i ścigania «wewnętrznych wrogów» cara. I oto odezwy stają się polem, na którym odbywa się wyścig sług carskich. Właściwie jest to sprawa polityczna i jako taka należeć musi do żandarmerii, ale zarazem, stanowiąc zakłócenie «spokoju i porządku» publicznego, wchodzi w zakres funkcji policyjnych. A że zwyczajna policja zwykle pierwsza się dowiaduje o odezwach, więc śpieszy wyzyskać tę szansę, by ubiec żandarmerię i uprzędzić ją w wyszukaniu winowajców.

Ogromną większość tych «winowajców», wytropionych przez policję, stanowią ludzie, zatrzymani przy czytaniu odezw przyklejonych, przy podejmowaniu rzuconego na ulicy druku — w ogóle tę większość stanowią zwykli ciekawscy. Właściwie nawet, używając słowa «większość», popełniłem błąd — słuszniejszym by było użyć słowa «wyłącznie». W ciągu ostatnich dziesięciu lat słyszałem zaledwie o dwóch wypadkach, gdy zatrzymano istotnych winowajców, to jest tych, którzy rozpowszechniali rzeczywiście odezwy. A przecie większość odezw pociąga za sobą aresztowanie tej lub innej ofiary wściekłości policyjnej. Co prawda, ofiary te przeważnie z łatwością udowadniają swą zupełną niewinność i po paru tygodniach aresztu wychodzą na wolność.

Opowiadano mi o zabawnej scenie, która miała miejsce w kieleckim biurze policmajstra po rozrzuceniu i rozlepieniu odezw po raz pierwszy prawdopodobnie od czasu powstania — 1863 r.

Policja po rozpowszechnieniu już odezw wykazała swą gorliwość i aresztowała trzech Bogu ducha winnych ludzi, których przyłapała w różnych punktach miasta nad ranem przy czytaniu rozrzuconych i rozlepionych odezw. O godzinie 9 czy 10 rano, otoczonych liczną strażą, przyprowadzono ofiary gorliwości policyjnej do policmajstra. Ten wpadł na nich z furią, wymyślając im okropnie, grożąc strasznymi karami, używając bogatego słownika rosyjskich połażanek.

— Zgnoję was, buntowników, w więzieniu! — ryczał zapieniony dygnitarz, — no, powiedz mi zaraz, łajdaku, jak to rozrzuciłeś te świstki — zwrócił się do jednego z aresztowanych, wskazując na odezwę.

— Ależ, panie naczelniku, — usprawiedliwiał się nieborak — ja wcale nie rozrzuciłem tych papierków. Ja tylko chciałem zedrzyć jeden taki papierek, naklejony na murze.

— Co?! zdzierać! — wściekał się ze złości policmajster. — Kto pozwolił? Ja tobie, łajdaku, pokażę, co to jest zdzierać! Widzisz go? Zamknąć go do aresztu! — rzucił rozkaz policjantom.

Jednym z uciążliwych obowiązków niższych urzędników policyjnych przy rozsypywaniu odezw jest dostarczenie samych odezw, jako corpus delicti. Odezwy te, ściągnięte z różnych stron, zbierają się do kupy, obliczają je do protokołu i tworzy się raport o «buntowniczych» odezwach, rozrzuconych w takim i takim mieście. Opowiadano mi, że po pierwszych odezwach w Zagłębiu naczelnik powiatu będzińskiego,

któremu dostarczono szesnaście odszukanych odezw, złożył raport następujący:

«Ludzie złej woli takiego to dnia rozrzučili odezwy takiej a takiej treści. Rozrzucono 16 odezw, które przy niniejszym raporcie załączam».

Według raportu więc wyłapano wszystkie odezwy, rozrzucone tego dnia.

Przy odszukiwaniu odezw, jako corpus delicti, dzieją się najrozmaitsze rzeczy, zdumiewające swą głupotą, a ściągające uwagę otoczenia i zatem robiące reklamę samej odezwie.

W którymś numerze «Robotnika» opisany jest, np. następujący fakt:

W Ostrowcu, osadzie fabrycznej w Radomskim, policja gwałtownie poszukiwała odezw, o których słyszała, że były rozrzucone w tym miasteczku. Nareszcie na którymś słupie telegraficznym odnaleziono przylepioną odezwę. Paru strażników zaczęło gorliwie pracować nad tym, by zdjąć proklamację bez uszkodzenia druku. Lecz papier był przyklejony porządny, mocnym klejem i biedni strażnicy byli w kłopotcie. Przynieśli wiadro wody, moczyli papier, lecz szło im trudno.

Strażników otoczyła kupa gapiów, z ciekawością oglądających ciężką robotę «naczelników». W gronie widzów roztrząsano fakt rozlepiania odezw, opowiadano sobie treść jej, pytano strażników, po co właściwie tak gorliwie pracują, gdy łatwiej wprost zeskrobać papier. Nie brakowało też i żartów.

— Językiem, panie strażnik, językiem — woła ktoś z gromady, — łatwiej będzie!

— Ach, ty czort — woła obrażony w swej godności naczelnik, — ja tobie!

Pan naczelnik porzuca robotę i rozpoczyna urzędowanie — rozpędza niedozwolone zbiegowisko. Ludzie rozbiegają się, lecz po chwili wracają, do nich się zbliżają inni i stopniowo tworzy się nowa grupa ciekawych.

W innym miejscu nalepiono odezwę na wagonie pociągu, idącego w głąb kraju z Warszawy. Użyto i w tym wypadku porządnego kleju, tak, że gdy wreszcie na którejś stacji spostrzeżono odezwę, żandarmi kolejowi nie mogli od razu jej zedrzeć bez uszkodzenia. Cóż robią mądre fijoły? Zatrzymują pociąg, odczepiają wagon z odezwą i wypilowują zeń deskę, na której proklamacja była nalepiona. Naturalnie, wywołuje to sensację nielada wśród pasażerów pociągu.

W większych miastach, rzecz prosta, władza jest mniej naiwną i więcej ostrożną. Tu żandarmeria ma stanowczą przewagę nad policją zwyczajną i, będąc lepiej zorganizowaną,

bardziej czujną i baczną, niełatwo daje się wyprzedzić na polu ścigania «buntowników». Choć nawet w takiej Łodzi, mieście z półmilionową prawie ludnością, zdarzały się wypadki, że władza swym rzucającym się w oczy postępowaniem robiła post factum reklamę odezwom rewolucyjnym.

Akurat, gdy mieszkał na Wschodniej ulicy, w drukarni partyjnej, rozpowszechnioną została odezwa z powodu kryzysu w przemyśle tkackim. W dzień rozpowszechnienia odezwy miałem interes w Warszawie i wracałem do domu wieczornym pociągiem, przychodzącym do Łodzi po jedenastej, a więc po zamknięciu bram w domach łódzkich. Ku wielkiemu zdumieniu zastałem bramę otwartą, a stróża stojącego przy niej.

— Adamie! — pytam zdziwiony — cóż to tak późno dzisiaj zamykacie bramę?

Adam w odpowiedzi wzruszył ramionami i lakonicznie odpowiedział:

— Kazano całą noc pilnować.

Byłem nieco zaniepokojony tym dziwnym rozkazem, lecz już od żony się dowiedziałem, że w całej Łodzi z powodu odezw kazano stróżom stać przy bramach do świtu i łapać tych, co «będą się zatrzymywali przy murach» — tak bowiem określił rewirowy czynność rozlepiania odezw po mieście. Naturalnie, cała Łódź mówiła o naszej odezwie i nawet ci, do których ona nie doszła, z konieczności dowiadywali się o niej, rozpytywali się o nią, starali się ją dostać.

Rzucając się w oczy «pogotowie ratunkowe» policji, będące taką wspaniałą reklamą dla ruchu rewolucyjnego, dochodzi do olbrzymich rozmiarów przy dorocznych obchodach, gdy rząd z pewnością oczekuje publicznego wystąpienia organizacji rewolucyjnych. Takim obchodem jest Pierwszy Maj, powszechne święto robotnicze. Jestem przekonany, że połowę popularności tego święta zawdzięczać należy krzyżującej w niebogłosej reklamie, urządzonej co rok przez rząd i jego organy. Reklama ta trwa wówczas tygodniami. Policja wszędzie jest tak zajęta, tak biegająca i zakłopotana, stróże tak przeciążeni dyżurami nocnymi i wieczornymi, ulice tak pełne patroli i nawet hałastry żołnierskiej, że najobojętniejszy człowiek poruszyć się musi i dowie się o «grożącej porządkowi i spokojowi publicznemu agitacji socjalistycznej». A że w Polsce «porządek», reprezentowany przez nahajkę sług carskich, nie cieszy się w ogóle zbyt sympatią, więc nic dziwnego, że reklama ta skierowuje sympatie najszerszego ogółu właśnie w kierunku «zakłócających porządek obecny».

Jeden z moich kolegów szkolnych — wcale nie socjalista — inżynier, który zarządzał przez pewien czas fabryką w głębi Rosji, opowiadał mi, w jaki sposób się dowiedział o święcie majowym i obchodzie w Polsce, gdy sprawa ta jeszcze nie była tak głośną, jak obecnie. Przytaczam tu jego opowiadanie, chociaż nie dotyczy się ono Polski, a to dlatego, że jest ono nadzwyczaj charakterystycznym dla postępowania rządu carskiego i jego niezdolności do wyczuwania nastroju społecznego i zrozumienia nawet własnych interesów.

— Fabryka, którą zarządzałem — opowiadał mi kolega — przeżywała w owe czasy ciężki kryzys. Zamówień było mało i nie mogliśmy zużywać tej siły roboczej, która jeszcze z czasów pańszczyźnianych przyzwyczaiła się do pracy w naszym zakładzie przemysłowym. Musiałem oddalić część robotników, lecz ci zaproponowali mi układ. Aby uniknąć pozbywania wszelkiego zarobku części personelu robotniczego, żądali oni skrócenia dnia roboczego dla wszystkich, przy równoczesnym obciążeniu zarobku dla wszystkich bez wyjątku. Obliczyłem, że mogę zająć wszystkich tylko w przeciągu sześciu godzin dziennie i wyjaśniłem robotnikom, że w tych warunkach płaca będzie bardzo niską. Robotnicy zgodzili się na te warunki i fabryka nasza pracowała tylko sześć godzin.

Coś w początku kwietnia — ciągnął dalej — przyjechał do fabryki komisarz policyjny — przystaw, jak go tytułują w Rosji — z miną okropnie zakłopotaną. Sądziłem, że jakiś kryminal sprawdził go do mnie. Okazało się jednak, że była to sprawa poważniejsza — państwu groziła rewolucja.

Z chwilą, gdyśmy zostali sami w gabinecie, pan przystaw przyciszonym głosem zapytał mnie:

— Cóż, u pana wszystko spokojnie?

— Naturalnie! — odpowiedziałem. — A co?

— A Pierwszy Maj? — pytał dalej. — Nic się u pana nie przygotowuje w fabryce?

Nic dotąd nie słyszałem o Pierwszym Maju, w gazetach bowiem nie pisano o tem ani słowa. Byłem więc zdumiony i nie mogłem zrozumieć, o co chodzi wystraszonemu przedstawicielowi władzy.

— Pan nic nie wie, — nachylił się ku mnie przystaw. — Rewolucja, panie, rewolucja, otrzymałem papier.

Podsłoczyłem na krześle.

— Gdzie? Co? Jak? — pytałem — i tu u nas? Śmieje się pan z tego!

— Ależ, panie — prawil urażony urzędnik — otrzymałem papier, mówię panu, z samego Petersburga. Piszą wyra-

źnie — w fabrykach na pierwszy maja żądać będą 8 godzin pracy, w Warszawie rewolucja.

— W Warszawie? — tknęło mię to słowo — rewolucja? Ośm godzin? Nic nie rozumiem. Masz pan ten papier?

Prystaw pokazał mi papier. Był to okólnik z departamentu policji, nakazujący władzom politycznym przed pierwszym maja objechać fabryki, znajdujące się w ich rewirach i dowiedzieć się o nastroju wśród robotników. Okólnik nakazywał zażądać od zarządów fabryk i zakładów przemysłowych natychmiastowego zawiadomienia władz policyjnych w razie zejść jakich na pierwszego maja. Następnie wytłumaczono, że na kongresie międzynarodowym przewrotowe elementy postanowiły żądać w fabrykach ośmiogodzinnego dnia roboczego, że wreszcie w Warszawie i innych miejscach Królestwa Polskiego doszło do zaburzeń pod wpływem knowań «ludzi złej woli». Okólnik wreszcie nakazywał policji być w pogotowiu do zduszenia hydry rewolucyjnej i w razie potrzeby zwracać się do odpowiednich władz po pomoc wojskową.

— Więc? — pytał prystaw, gdym skończył czytanie, — co pan teraz powie?

— Bądź pan spokojny — odpowiedziałem, — u mnie pracują ludzie sześć godzin.

— Cóż z tego — mówił prystaw, — ale rewolucja rewolucją. Dobrze panu tak być spokojnym — mówił, widząc, że się uśmiecham, — ja w innym jestem położeniu, papier do mnie przyszedł z samego Petersburga, w moim rewirze mam tylko jedną fabrykę — pańską — dzisiaj całą noc nie spałem, jak tylko brzask, kazałem zaprząć konie i do pana, a pan mi mówi — sześć godzin. Dobrze, że nie ośm, ale ja pytam pana, jaki jest nastrój? Pan to musi przecie wiedzieć.

Długo uspakajałem pana prystawa, wreszcie zapewniłem, że w razie czego natychmiast go zawiadomię. Prystaw wreszcie schował papier petersburski z napisem u góry: «bardzo poufne» — i wyjechał.

W parę dni po wizycie prystawa przysłała do mnie deputacja robotników z żądaniem, bym raz jeszcze potwierdził umowę, zawartą poprzednio, i obiecał, że nikogo z fabryki nie odda. A gdym zapytał, czemu przypuszczają, że mam złamać umowę, odpowiedzieli:

— Widzisz pan! Furman prystawa mówił, że panowie chcą urządzić u nas po zagranicznemu, żeby ośm godzin pracować w fabrykach, żeby naród od ziemi się nie odzwyczajał. Ale my nie chcemy ośmiu godzin, bo część robotników będzie wówczas wydalona.

Nie mogłem zrozumieć, co za stosunek istnieje z ziemią przy osmiogodzinnym dniu roboczym. Prawdopodobnie chodziło tu o jakieś wiecznie się powtarzające pogłoski o nowym nadziale ziemi, ale zgodziłem się i potwierdziłem raz jeszcze, że nikogo z fabryki nie oddalę.

Powyższe opowiadanie kolegi zawsze mi się przypomina, gdy słyszę lub widzę niezręczne, pozbawione taktu i zrozumienia sytuacja kroki zarówno rządu centralnego, jak i różnych jego agentów, przez swą gorliwość przyczyniających się do rozszerzenia autorytetu «przewrotowców», których się zwalcza, do rozpowszechnienia tej lub innej myśli, którą się głuszy.

Puszczanie odezów nie jest trudnym, gdy «pogotowie policyjne» nie działa. A że w większości wypadków policja mobilizuje swe siły post factum, więc najczęściej rozrzucenie i rozlepienie odezów odbywa się zupełnie swobodnie. Ludzie zwykle się urządzają w ten sposób, że dzielą miasto na rewiry i każdy z tych rewirów oddają pod opiekę jednemu lub dwu towarzyszom. Część odezów idzie z ręki do ręki, lecz tą drogą proklamacje idą dopiero po rozrzuceniu i rozlepieniu w mieście. Większość odezów rozrzuca się na schodach domów, do skrzynek listowych, na ścieżkach, po których przechodzą robotnicy, w fabrykach i w warsztatach. Niewielka ilość pozostaje do rozlepienia na parkanach, murach, słupach telegraficznych itd.

Ta ostatnia czynność jest najniebezpieczniejszą, szczególnie, gdy chodzi o odezwy doroczne, oczekiwane przez policję. Lecz niebezpieczeństwo podnieca ludzi i wśród robotników zawsze znaleźć można ochotników do takiej właśnie roboty. Rozwija się nawet swego rodzaju brawura, chęć urządzenia jakiegoś nadzwyczajnego psikusa, splątania figła zuchwałego. Dochodziło do tego, że nalepiano odezwy na plecach stójkowych, kozaków i stróżów.

Ogromna większość odezów, rozlepionych na ulicach, niknie bardzo prędko. Zdierają je policjanci i stróże. Lecz że władza nie jest pewną, czy wszystkie odezwy zostały usunięte z widoku publicznego, więc się odbywa długie polowanie na odezwy, poszukiwanie na murach i parkanach miejskich. W wyjątkowych wypadkach odezwy rozlepione przetrwać zdołają — szczególnie w dużych miastach — kilka godzin rannych, odezwy bowiem rozlepia się zwykle wieczorem albo w nocy.

Jeden z towarzyszków opowiadał mi o tym, jak strzelano do niego w czasie rozpowszechniania odezów. Było to w Zagłę-

biu Dąbrowskim, w noc przed Świętą Barbarą, patronką górniczą. Rok przed tym wydana była odezwa w tym czasie i władza przygotowywała się wówczas do przeciwdziałania «buntownikom», mobilizowała swe siły, by zapobiec powtórzeniu «zbrodniczego knowania».

— Mieliliśmy, ja z innym towarzyszem — mówił mi on — wyznaczone sobie części Zagłębia do obejścia i puszczenia odezw. Jużeśmy byli ku końcowi swej roboty. Został nam szereg domów robotniczych, przytykających prawie do toru kolejowego. Postanowiliśmy nalepić odezwy na słupkach, wkopanych przed każdym wejściem do domu. Doszliśmy do połowy szeregu, gdy usłyszałem szybkie kroki na przeciwległych schodach. Było to akurat w chwili, gdym zaledwie przytknął odezwę do słupka w tym miejscu, gdzie mój kolega posmarował klejem. Przycisnąłem papier do kleju, nie przestając jednak patrzeć na wyjście z domu. Spostrzegłem w drzwiach człowieka, który ujrzawszy nas, szybko się do nas zbliżać zaczął.

Odsunęliśmy się od słupka na środek drogi, wciąż słyszałem kroki za sobą. Żeby nastraszyć prześladowcę, opuściłem laskę stalową, którą miałem w rękę i zaczepiłem ją o parę kamieni na drodze. Laska zabrzęczała i ku wielkiemu zadowoleniu spostrzegłem, że dźwięk doleciał i do uszu człowieka, idącego za nami. Zatrzymał się on i wkrótce usłyszałem jego pośpieszne kroki, skierowane z powrotem do domu.

Lecz uchodząc od naszego prześladowcy, posunęliśmy się zbyt daleko, zbliżyliśmy się do toru kolejowego, przy którym stała budka dróżnika. Gdy człowiek, idący za nami, już nas opuścił, usłyszeliśmy przed sobą dźwięk, który ucho rewolucjonisty w zaborze rosyjskim wyróżni z pomiędzy całego mnóstwa innych. Był to dźwięk ostróg, dowodzący, że ich posiadacz, prawdopodobnie żandarm, stanowiący część «pogotowia ratunkowego» policji, był o kilka kroków przed nami. Skręciliśmy od razu na prawo, na szeroką drogę, wiodącą do sąsiedniej kopalni. Nagle za nami usłyszeliśmy groźny okrzyk w języku urzędowym.

— *Stój! Kto idiot?* ¹⁾ — krzyczał żandarm. Szedł za nami, bo ostrogi jego brzęczały dalej.

Nie odpowiadaliśmy ani słowa i przyspieszyliśmy kroku. Droga była równa, bez żadnych zakrętów, lecz o parę minut drogi po lewej stronie musieliśmy znaleźć dół dosyć głęboki — pozostałość po dawnych kopalniach. Postanowiliśmy

¹⁾ Stój! kto idzie?

zbiec, a raczej zsunąć się do tego dołu, przebiec go wszecz i po drugiej stronie wydrapać się z niego. Byliśmy przekonani, że żandarm nie ośmieli się iść za nami w głąb dołu.

Lecz nim doszliśmy do celu, żandarm raz jeszcze krzyknął nam, żebyśmy się zatrzymali. Naturalnie, żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Po chwili, gdyśmy już byli nad dołem, rozległ się wystrzał jeden, a następnie drugi. Dodało to nam, rzecz prosta, charakteru w nogach. Piorunem zsunęliśmy się do dołu i zniknęliśmy w mrokach nocy. Żandarm nie goił nas.

Po kilku dniach dowiedziałem się o rozmowie, jaką miał nasz pierwszy prześladowca. Był to górnik z kopalni. Gdy wrócił do domu, opowiedział swemu koledze, którego znałem, o tem, że spotkał na ulicy tych, «co rozlepiają odezwy». Opowiadał, że chciał się przypatrzeć takim ludziom i biegł ku nim.

— Bój się Boga! — przerwał mu opowiadanie mój znajomy, — ależ oniby cię mogli potraktować sztyletem. Może sądzili, że chcesz ich łapać.

— Właśnie! — odpowiedział górnik. — Nie głupim. Jak tylko zabrzączał «on» swym nożem, ja zaraz w nogi. Odważni ludzie te socjaliści!

O innym zabawnym wypadku, który miał miejsce w Warszawie przy puszczeniu odezwy majowych, słyszałem następujące opowiadanie:

Stróż na dalszem przedmieściu stolicy zauważył człowieka, przyklepiającego papier do parkanu. Natychmiast skoczył ku niemu, by go zatrzymać. Lecz człowiek, chcąc umknąć, zdążył wskoczyć na parkan w chwili, gdy stróż do niego podbiegał. Już przerzucił jedną nogę na drugą stronę parkanu, gdy go stróż schwycił za spodnie na drugiej nodze. Nasz towarzysz znalazł się w dosyć niewygodnej pozycji. Parkan był bardzo wąski, stróż ciągnął go za spodnie w dół, w każdej chwili mógł on spaść z parkanu w objęcia stróża. Zebrał więc wszystkie siły i kopnął nogą w twarz ściągającego go stróża. Ten nie wytrzymał uderzenia. Przewrócił się, lecz urwał, padając, dolną część spodni towarzysza, który również nie potrafił zachować równowagi i ze zdefektowanym ubraniem spadł z parkanu po drugiej stronie do jakiegoś ogrodu. Pomimo, że się nieco potłukł, natychmiast podniósł się i zemdlał. A zmykając, słyszał przeraźliwe gwizdki stróża i wołania jego: «łapaj złodzieja!»

Ten okrzyk: «złodziej» nieraz słyszą nasi towarzysze przy łapaniach i aresztowaniach. Władza i organy policyjne wiedzą doskonale, że walka rewolucyjna, przeciw rządowa

w Polsce otoczona jest tak powszechnym współczuciem i sympatiami, że trudno rachować na pomoc otoczenia, gdy się ma do czynienia z rewolucjonistami. Przeciwnie, spotkać można w takich wypadkach nie pomoc, lecz przeciwdziałanie. I oto, gdy trzeba się uciec do pomocy publiczności, gdy się chce wywołać współdziałanie ludzi, nie mających zaszczytu być oficjalnymi podporami azjatyckiego tronu carskiego, używa się hasła: «łapaj, trzymaj złodzieja!»

Mimowolni sprawcy aresztowania «politycznego» nieraz gorzkie robią sobie wyrzuty, że się stali pomocnikami ohydnych gwałtów policji carskiej. Spotkałem raz pewnego pod Wilnem jednego kolejarza, który mi ze łzami w oczach opowiadał o takim fakcie.

— Szedłem — mówił mi wzruszonym głosem — późnym wieczorem po ulicy. Słyszę za sobą szybkie kroki biegnącego człowieka i krzyk: «łapaj, złodziej, złodziej!» Odwracam się, przede mną młody Żydek z wystraszoną twarzą, zadyszany i spocony. Chciał biedak skręcić do zaułka, w którym prawdopodobnie znikłby i umknął od prześladowców. Lecz ja, nic nie wiedząc, schwyciłem go za kark. A tuż za nim wpadli naraz: rewirowy i dwóch stójkowych.

Jeden z nich uderzył Żydka w twarz, łając.

— *Ach, ty sukinsyn!* — krzyczał, — *parszywyj żyd, buntował, wzdumał!*¹⁾ — rewirowy trzymał w ręku jakiś papierek.

Ręce mi opadły, gdym to usłyszał. Mój ty Boże, — dodał z westchnieniem, — i czemu też nie rzeknął mi on przed chwilą, że go ściga policja za politykę!

Wobec tego należy być nadzwyczaj ostrożnym w udzielaniu jakiegokolwiek pomocy policji, należy się wystrzegać tego szczególnie w czasie zaburzeń i rozruchów ludowych i podczas dni, gdy policja jest niespokojną i nerwową.

ZAKOŃCZENIE

Zatrzymałem uwagę swych czytelników może zbyt długo nad bibułą, zdaje mi się jednak, że zasługuje ona na to. Słowo drukowane w obecnych społeczeństwach jest uznaną powszechnie potęgą. Jego postęпами, jego rozwojem, jego rozpowszechnianiem mierzą niektórzy siłę, owoc i stan cywilizacji

¹⁾ Ach, ty sukinsynu!... Żydzie parszywy, buntować się umyśliłeś?